



CEZARY JELLENTA.

BALLADYNA.

(Dokończenie).

—:o:—

IV.

A teraz dotkniemy zapowiedzianej w jednym z poprzednich artykułów kwestji absolutnej oryginalności „Balladyny”.

Absolutnej oryginalności w dramatach narodowych niema i być nie może, zawsze opierają się one na legendzie, baśni, mycie, historii. I to dodaje im charakteru monumentalnego, wiekuistego, że się korzeniami wątki łączą z daleką przeszłością.

Wielkie poematy dramatyczne są jak wielkie symfonie i dzieła muzyczne o charakterze narodowym—zawsze lub bardzo często słyszymy w nich wystylizowany i wyhodowany przez kompozytora pierwoksztalt melodii ludowej.

Balladyna, jak już wiemy, jest rozwiniętą, wyolbrzymiałą balladą o malinach, znaną naszej poezji ludowej, i nie raz już przez poetów opracowaną.

Dość wspomnieć „Maliny” Aleksandra Chodźki:

Niechaj idą w gej,
Która więcej melli zbierze,
Tę za żonę pan wybierze,
Ta będzie pania.

W tym punkcie tedy brak absolutnej oryginalności jest całkiem naturalny i stanowi raczej wielką zaletę, niż wadę utworu. Zależność od podania ludowego stawia „Balladynę” na jednej płaszczyźnie z wielkimi dramataми Eyschylosa lub Szekspira.

Zarzuty więc możnaby czynić jedynie z powodu innej zależności „Balladyny”—mianowicie podobieństwa jej niektórych scen do „Makbet” Szekspirowskiej. Tu istotnie Słowacki poszedł za głosem swej niepomiernej, we wcześniejszym okresie wrażliwości na genjusz Szekspira. Podobnie bywał wrażliwym na Arjosta, Calderona, Byrona, Sofoklesa, Mickiewicza, ale najwięcej jako dramaturga fascynował go i i sugerował „Łabędź z Avonu”—twórca „Makbet”, „Hamleta” i „Snu nocy letniej”. Psychika Balladyny jako niepomiernej w swej ambicji i zaścieniającej swą drogę do tronu—trupami, jest istotnie bardzo zbliżoną do psychiki Lady Makbet. Tamta spełnia zbrodnie na Bancu współ z mężem, którego jest złym duchem, Balladyna jest więcej samodzielną, lub też jeśli posługuje się kimś innym—niemcem Kostrynem—to dla celów bezpośrednio własnych. Balladyna przerasta panią Makbet zbrodniczością. Tamta ma jeszcze męża i tworzy z nim jedną całość płecia się do wspólnego tronu po krwawej drabinie, Balladyna zaś nie oszczędza nikogo, wszyscy są dla niej tylko narzędziami, które niszczy z chwilą, gdy spełniły swoje zadanie.

I momentem też Makbetowskim jest owa niezatarta, niczem zmyć się nie dająca plama krwi na czole, choć, jak widzieliśmy, w tej plamie czerwieni się także piętno Kaina Byronowego. Jednak uporczywość tej plamy, jej symboliczne, mistyczne znaczenie, jej ciągły jakby świszący zapach krwi niewinnie przelanej—stałe przypomina ową mekę lady Makbet, która dłoni swej, zbroczonej krwią zamordowanego króla, niczem, nawet woniami Arabji zmyć nie jest w stanie.

Podobnież o Szekspira potrąca scena ukazania się Balladynie ducha Aliny, przesuwającego się przez ucztową salę. Tu szczególnie żywo staje nam przed oczami owa potężna chwila w „Makbet”, kiedy zabójca króla, godzący w orszaku rycerzy, widzi nagle cień swej ofiary i kielich z rak w nadludzkim przestrachu wypuszcza. Ta wielka, wspaniała gra duszy, nieskalanej doszczętnie i zdolnej do widzenia zjaw swojego zbrojałego sumienia—nic dziwnego, że tak osobliwie kusila pióro Słowackiego.

Możnaby zreasumować wszystkie te pokrewieństwa „Balladyny” z „Makbet” w o-

gólnej uwadze, że poeta polski w szalonym, romantycznym i scenicznym rozpędzie chciał prześcignąć Szekspira doborom i ilością zbrodni swojej bohaterki i że ona w ten sposób jest nagromadzeniem złego takim, iż graniczy już z przesadą i zaczyna być konstrukcją wielce złożoną i psychologicznie ryzykowną.

Możnaby dodać jeszcze, że i matka Balladyny, wdowa, w koncepcji swej opiera się nieco o Szekspira. Przypomina ona starego króla Lira, wydziedziczzonego przez nikczemne swoje córki, rzuconego na pastwę krwawego bólu i łez, burz i ślot, głodu i bezdomności. Jeszcze zobaczymy tego samego króla Lira w „Lilli Wenedzie”.

Lecz wszystkie owe węzły, łączące „Balladynę” z Szekspirem, jeśli są błędami, to na pewno zostały sownie okupione przez niewymownie piękny, kolorysty swojski całej tragedji. Poeta i troskliwie i z natchnieniem spolszczył wszystko, co brał z inwencji cudzej. Jego ludzie, natura, duchy i widma—są głęboko poetyczne i tak rdzennie a bezwzględnie nadgoplańskie, tak tchną rasą lechicką i spoką lechicką, że można je uważać za jedną z najważniejszych emanacji tego samego genjuszu przekrólewszczania i przeduchowania starej przeszłości polskiej, który wydał i „Lillę Wenedę” i pierwsze krwawo-spiżowe rapsody „Króla Ducha”.

L. K. ILLAKOWICZ.

Rymy dzieciinne z „Cyklu Lalki i Krzysia”.

—:o:—

ŻÓŁTY WIERSZ.

Pod mostem rośnie żółty jaskier,
po łacie chodzi żółty paw.
O połóż się na suchym brzegu
pośrodku traw.

W studzienice pływają złoty kubek,
na dnie salega złoty żwir,
puszysty żółtodzióbek śpiewa
„ciurri! ciurri!”

Małeńki anioł w żółtych skrzydłach
sieje oieniutki złoty kurz...
Żabka ma wianek złotych liści,
Krzysia ma bukiet złotych róż.

NIEZNAJOMA JADWISIA.

Na białym murze
wiszą żółte i czerwone pończoszki na sznurze;
te są lalki, tamte — Krzysi,
a te trzecie nieznajomej, niewiadomej Jadwisi.
„A jaka — ta Jadwisia? a czy ma braciśka?
Czy krzykliwa jak urona? Czy spokojna jak
[myszka]
Czy ma koraliiki i całe buciiki?
Czy — czarna? czy w kędziorkach jak małe
[płomyki]
A jak się jej mały piec — jeśli go ma —
[nazywa]
czy my ją znamy? i czy jest szczęśliwa?!”

ZABAWKI.

Warkoczył na noc splecione,
anielskie skrzydła — złożone.
Śpijcie, śpijcie, małe smęczone dziewczynki —
gwiżdzy, lalki, księżki, koty — wszystko złożone
[do skrzynki]

A kto skrzynkę po nocy otwiera?
Bóg Najbliższy, który nie umiera:
on cacka kolorowe do samego rana
Matce Boskiej, królowej składa na kolana,
na płaszczu niebieskim, na sukni przeczyskiej
składa wasze zabawki Pan Bóg wiekuisty.

A. LANGE.

Z opowiadań więźnia.

(ciąg dalszy)

—:o:—

Wśród słuchaczy miał on więcej zwolenników, niż Aleksy; to też daly się słyszeć głosy:

— Precz z nim! Niech żyje Miron; — Ten zaś, pewny siebie, mówił:

— Nie dopuszczę do tego! Pamiętaj, że mam przy sobie broń — i potrafię jej użyć w razie potrzeby.

Aleksy chciał uniknąć starcia z Mironem, bacząc na interes rewolucji.

— Nie tu czas ani miejsce.

— Odpowiedzialności chcesz uniknąć — krzyczał Miron.

— Bynajmniej, ale mamy tu ważniejszą sprawę, niż osobiste.

— Nie będziesz mię uczył, jaki jest mój obowiązek. Jesteś zaprzędany kapitalizmowi i biurokracji.

— Zdrajca, zdrajca! — zabrzmiało dokoła, a Miron dalej mówił:

— Jedno ci się należy — śmierć natychmiastową.

— Śmierć mu, śmierć — wołali studenci, robotnicy i panny w sukniach różnokolorowych.

W tej chwili Miron dał wystrzał z rewolweru w powietrze.

Po paru minutach z pobliskiego gaju wyszedł rotmistrz Iwanow i dwunastu żołnierzy. Zgromadzeni w podziwie patrzali na nowych gości, a rotmistrz głosem komendy mówił do żołnierzy:

— Otoczyć dokoła. Nie wypuszczać nikogo. Broń mieć w pogotowiu.

Trzech żołnierzy kolejno rewidowało więźniów; zabierali im rewolwery, dokumenty; papiery; na ręce kładli im kajdany, łącząc po dwie osoby. Ale Miron stawiał się zuchwale:

— Nie tykać mniel! Precz z caratem! Niech żyje rewolucja!

Poczem zaczął śpiewać na nutę polskiej pieśni: „Armaty pod Stoczkiem” — nieudolną, choć bardzo rozpowszechnioną pieśń przeciw „burżuazji”.

Nas dawił, o bratija, włast, kapitał,
Burtui, moł, podporoj u trona!

Wkrótce potem weszli na polanę nowi trzej żołnierze, prowadząc starego wieśniaka, również zakutego w kajdany. Żołnierze dźwigali dwie małe skrzynki, w których, w jednej, jak się okazało, była broń, w drugiej, papiery, broszury i t. d. Stary Fiedor, zupełnie ogłupiały, miał jednak tyle przytomności, że zapytał żołnierza:

— Co to jest? — i wskazał mu ludzi, otoczonych przez wojsko.

Żołnierz mu wyjaśnił, że to schwytane buntowszczyki, a potem zwrócił się do rotmistrza:

— Melduję pokornie waszemu wysokorodju, żeśmy starego kramolnika zabrali w jego domu, i znaleźli u niego broń i pisma.

— Razem go do gromady — rozkazał rotmistrz.

Teraz dopiero Fiedor zobaczył Aleksę i Marię. — Cóż to się stało? — zapytał.

— A no — odrzekł Aleksy — wzięli nas, potrzymają i puszcza. Ale za co was, ojciec, zabrali?

— Ta znaleźli u mnie broń, książki... Nie wiem, kto to mi podrzucił.

Spojrząwszy dokoła, zatrzymał nagle wzrok na Mironie.

— O, ten powiedział, parę dni temu przychodził do mnie, pytał o ciebie, to pewnie on, ale jak i kiedy to zrobił, nie wiem.

— To zagadkowa historia — zauważyła Marfa. — Przypuszczam tu zdradę. Może to z mojej strony nie ładnie, ale mam podejrzenie, że Miron jest prowokatorem.

— Ha — z żalem i oburzeniem zawołał Miron — jakżeż się omylił co do twego charakteru, Marfo! Przebaczyłem ci twoją dla mnie obojętność, ale nie przebaczę twego oskarżenia.